

JOHN GREEN

*Szukając
Alaski*



BUKOWY LAS

(136 dni PRZED)

Na tydzień przed tym jak opuściłem moją rodzinę, Florydę i całą resztę swojego niedojrzałego życia, by wyruszyć do szkoły z internatem w Alabamie, moja matka uparła się, aby wydać przyjęcie pożegnalne. Gdybym powiedział, że miałem niewygórowane oczekiwania, byłoby to dramatyczne niedomówienie. Zostałem w zasadzie zmuszony do tego, by zaprosić wszystkich moich „szkolnych przyjaciół”, to znaczy łachmaniarską bandę z kółka teatralnego i typków z angielskiego, z którymi przesiadywałem z towarzyskiej konieczności w zapadłych lochach szkolnej kafeterii, choć wiedziałem, że nie przyjdą. Mimo to matka obstawała przy swoim, trwając w błogich złudzeniach, że przez te wszystkie lata ukrywałem przed nią swoją popularność. Przygotowała mnóstwo dipu z karczochów. Przyozdobiła nasz salon zielonymi i żółtymi serpentynami, w barwach mojej nowej szkoły. Kupiła dwa tuziny butelek szampana z korkiem i ustawiła je dookoła stolika kawowego.

A kiedy nadszedł ten ostatni piątek i byłem prawie spakowany, o 16.56 usiadła ze mną i tatą na kanapie i cierpliwie oczekiwała przybycia kawalerii pod wezwaniem „Do widzenia, Milesie”. Wspomniana kawaleria składała się z dwojga ludzi: Marie Lawson, drobnej blondynki

w prostokątnych okularach, i jej pulchnego (łagodnie mówiąc) chłopaka, Willa.

– Hej, Miles – powiedziała Marie, sadowiac się na kanapie.

– Hej – odpowiedziałem.

– Jak ci minęło lato? – zapytał Will.

– W porządku. A tobie?

– Nieźle. Wystawialiśmy *Jesus Christ Superstar*. Pomagałem przy scenografii. Marie robiła światła – powiedział Will.

– Super. – Skinałem, udając, że wiem, o co chodzi, i to właściwie wyczerpało nasz zestaw tematów do konwersacji. Mogłem zadać pytanie o *Jesus Christ Superstar*, tylko że: 1. nie wiedziałem, co to jest, 2. nie chciałem wiedzieć, i 3. nigdy nie byłem mocny w towarzyskich pogawędkach. Moja mama – w przeciwieństwie do mnie – potrafi godzi-
nami zabawiać gości rozmową i tak oto przyczyniła się do przedłużenia niezręcznej sytuacji, pytając ich o plan prób, jak wyszło przedstawienie i czy okazało się sukcesem.

– Wydaje mi się, że tak – przyznała Marie. – Przyszło dużo ludzi. Tak mi się wydaje.

Marie była typem osoby, której ciągle się coś wydaje.

W końcu odezwał się Will:

– No cóż, wpadliśmy tylko, żeby się pożegnać. Muszę odprowadzić Marie do domu przed szóstą. Baw się dobrze w nowej szkole, Miles.

– Dzięki – odparłem z ulgą. Jedyną rzeczą gorszą od przyjęcia, na którym nie ma nikogo, jest przyjęcie, na które przyszło dwoje strasznie, kompletnie nieinteresujących ludzi.

Wyszli – i tak oto siedziałem z rodzicami, gapiąc się w pusty ekran telewizora. Chciałem go włączyć, ale wiedziałem,

że nie powinienem. Czułem na sobie spojrzenia ich obojga, jak czekali, aż wybuchnę płaczem albo coś w tym stylu, jakbym od samego początku nie wiedział, że tak wyjdzie. Wiedziałem. Czułem ich litość, kiedy zanurzali chipsy w dipie karczochowym przeznaczonym dla moich wyimaginowanych przyjaciół, ale to im potrzebna była litość, w każdym razie bardziej niż mnie; ja nie byłem rozczarowany. Moim oczekiwaniom stało się zadość.

– To dlatego chcesz wyjechać, Miles? – zapytała mama.

Przez chwilę obracałem w myślach to pytanie, patrząc wszędzie, tylko nie na nią.

– Yyy... nie – wyjąkałem.

– No to dlaczego? – dopytywała. Nie pierwszy raz zadała mi to pytanie. Mama niespecjalnie pragnęła puścić mnie do szkoły z internatem i nie robiła z tego tajemnicy.

– Przeze mnie? – podsunął tata. Chodził do Culver Creek, tej samej szkoły, do której się wybierałem, tak jak obydwaj jego bracia i ich wszystkie dzieci. Myślę, że podobał mu się pomysł, abym poszedł w jego ślady. Moi wujowie opowiadali historie o tym, jak ojciec sływał w kampusie z szaleńczych eskapad, które wszelako nie przeszkadzały mu osiągać świetnych wyników w nauce. Wydawało się, że życie w Culver Creek będzie lepsze od tego tutaj, na Florydzie. Ale nie, to nie z powodu taty. Niezupełnie.

– Chwileczkę – powiedziałem. Poszedłem do gabinetu ojca i znalazłem biografię François Rabelais’go. Lubiłem czytać biografie pisarzy, nawet jeśli (jak w wypadku pana Rabelais’go) nigdy nie czytałem żadnych ich książek. Przewertowałem książkę i znalazłem na końcu podkreślony odblaskowym markerem cytat („NIGDY NIE UŻYWAJ

MARKERA W MOICH KSIĄŻKACH” – powtarzał mi ojciec tysiące razy. No to jak inaczej potem znaleźć to, czego szukasz?).

– Więc ten facet – powiedziałem, stojąc w drzwiach salonu – François Rabelais. Był poetą. A jego ostatnie słowa to „**Udaję się na poszukiwanie Wielkiego Być Może**”. Dlatego wyjeżdżam. Żebym nie musiał czekać z poszukiwaniem Wielkiego Być Może do śmierci.

To ich uspokoiło. Goniłem za Wielkim Być Może i oni wiedzieli równie dobrze jak ja, że nie znajdę go z ludźmi pokroju Willa i Marie. Usiadłem z powrotem na kanapie, między mamą i tatą, tata otoczył mnie ramieniem i trwaliśmy tak w ciszy długi czas, aż do chwili, kiedy wyglądało na to, że można już włączyć telewizor, a potem zjedliśmy dip karczochowy na kolację i obejrzelśmy kanał historyczny, ale przecież bywają znacznie gorsze pożegnalne przyjęcia.

(128 dni PRZED)

Na Florydzie było piekielnie gorąco, to oczywiste, a ponadto wilgotno. Tak gorąco, że ciuchy kleiły się do ciebie jak plaster, a pot kapał ci z czoła na policzki jak łzy. Ale gorąco było tylko na dworze, a ja z reguły wychodziłem na dwór tylko po to, by przejść z jednego klimatyzowanego pomieszczenia do drugiego.

Dlatego nie byłem przygotowany na jedyne w swoim rodzaju upały, którego można doświadczyć piętnaście mil na południe od Birmingham w Alabamie, w Szkole Przygotowawczej Culver Creek. Bryka rodziców była

zaparkowana na trawie, kilka stóp od mojego pokoju, pokoju numer 43. Ale za każdym razem, kiedy pokonywałem te kilka kroków do i z samochodu, żeby wypakować to, co teraz wyglądało mi na stanowczo za dużo rzeczy, słońce przepalało mi ubranie aż do skóry z zawistną wściekłością, której zacząłem się bać niczym zapowiedzi ognia piekielnego.

Przeniesienie rzeczy z samochodu zabrało nam tylko kilka minut, ale mój nieklimatyzowany pokój internatowy, choć, dzięki Bogu, nie w pełnym słońcu, był w sumie niewiele chłodniejszy. Byłem zaskoczony: wyobrażałem sobie pluszowy dywan, boazerię na ścianach i wiktoriańskie meble. Poza jedyną atrakcją – własną łazienką – dostałem pudełko ze ścianami z pustaków pokrytymi grubo warstwami białej farby i z podłogą wyłożoną zielono-białym linoleum. To miejsce przypominało bardziej szpital niż pokój w internacie z moich marzeń. Piętrowe łóżko z niewykończonego drewna, z materacami z gąbki, stało przy oknie. Biurka, szafki i półki na książki były na stałe przymocowane do ścian, co miało zapobiec kreatywnemu planowaniu przestrzeni. No i brak klimaty zacji.

Siedziałem na dolnym łóżku, kiedy mama otworzyła walizkę, wyjęła z niej stos biografii, z którymi tata zgodził się rozstać, i zaczęła układać je na regałach.

– Potrafię się rozpakować, mamó – powiedziałem. Tata wstał. Był gotów do odjazdu.

– Daj przynajmniej posłać ci łóżko – upierała się mama. Nie, naprawdę. Umiem to zrobić. W porządku.

Bo nie można przeciągać tych spraw w nieskończoność. W którymś momencie po prostu pociągasz za plaster i boli, ale za chwilę jest już po wszystkim i czujesz ulgę.

– Mój Boże, ale będziemy tęsknić – westchnęła mama, przeskakując między walizkami, żeby dostać się do łóżka. Wstałem i uściskałem ją. Tata też podszedł i stworzyliśmy swego rodzaju stadko.

Było za gorąco i byliśmy zbyt spoceni, aby uściski mogły trwać długo. Wiedziałem, że powinienem uronić parę łez, ale mieszkalem z rodzicami już szesnaście lat i próbna separacja powinna była nastąpić już dawno.

– Luzik – uśmiechnąłem się. – Nauczę się godać po pudniowemu.

Mama zaśmiała się.

– Tylko nie zrób jakiegoś głupstwa – przestrzegł mnie tata.

– Spoko.

Żadnych narkotyków. Żadnego picia. Żadnych papierosów.

Jako uczeń Culver Creek robił rzeczy, które znałem tylko ze słyszenia: tajne przyjęcia, biegi na golasa przez pola z sianem (zawsze jęczał, jak to wtedy brakowało dziewczyn), dragi, picie i fajki. Rzucenie palenia zajęło mu trochę czasu, ale jego durne lata minęły na dobre.

– Kocham cię – wypalili jednocześnie. Należało to powiedzieć, ale przy tych słowach poczułem się tak niezręcznie, jakbym patrzył na całujących się babcię i dziadka.

– Ja was też. Będę dzwonił co niedziela. – Nasze pokoje nie miały telefonów, ale rodzice wystąpili z prośbą, aby umieszczono mnie w pokoju w pobliżu jednego z pięciu automatów, jakie posiadało Culver Creek.

Uściskali mnie znowu – mama, potem tata – i było po wszystkim. Patrzyłem przez okno, jak wyjeżdżają z kampusu krętą drogą. Powinienem może poczuć lepki,

sentymentalny smutek. Ale przede wszystkim chciałem po prostu ochłonać, więc zabrałem jedno z krzeseł i usiadłem przed drzwiami w cieniu okapu, czekając na wiatr, który nie przychodził. Powietrze na zewnątrz było tak samo nieruchome i męczące, jak powietrze w środku. Ogarnąłem wzrokiem swój nowy internat: sześć jedno-piętrowych budynków, po szesnaście pokoi w każdym, układało się w sześciokąt dookoła rozległego trawiastego okręgu. Wyglądał jak przerośnięty stary motel. Wszędzie chodzili chłopcy z dziewczynami, śmiejąc się i ściskając. Miałem nikłą nadzieję, że ktoś podejdzie i porozmawia ze mną. Wyobraziłem sobie konwersację:

– Hej. To twój pierwszy rok?

– Zgadza się. Jestem z Florydy.

– Super. To pewnie jesteś przyzwyczajony do upału.

– Do tego upału nie byłbym przyzwyczajony nawet wówczas, gdybym był z Hadesu – zażartowałbym. Zrobiłbym dobre wrażenie zaraz na starcie. „Jest zabawny. Ten facet Miles jest przezabawny”.

To oczywiście się nie wydarzyło. Nic nigdy nie działo się tak, jak to sobie wyobrażałem.

Znudzony, wszedłem z powrotem do środka, zdjąłem koszulę, położyłem się na rozgrzanej od upału gąbce materaca z dolnego łóżka i zamknąłem oczy. Nigdy nie doświadczyłem powtórnych narodzin przez chrzest, z płaczem itp., ale nie mogłem czuć się lepiej niż teraz, nowo narodzony facet z jego nieznaną tu nikomu przeszłością. Myślałem o ludziach znanych mi z książek – Johnie F. Kennedym, Jamesie Joysie, Humphreyu Bogarcie – którzy chodzili do szkół z internatami, i ich przygodach. Kennedy na przykład uwielbiał odstawiać numery.

Pomyślałem o Wielkim Być Może i o tym, co się może zdarzyć, o ludziach, których mogę spotkać, i o tym, kim okaże się mój współlokator (kilka tygodni wcześniej dostałem list, w którym podano mi jego nazwisko, Chip Martin, ale żadnych dalszych informacji). Kimkolwiek był Chip Martin, pokładałem w Bogu nadzieję, że przywiezie ze sobą kilka superwentylatorów, bo ja nie zapakowałem do swoich walizek ani jednego, i już czułem, jak na materacu zbiera się kałuża mojego potu, co mnie tak zniesmaczyło, że przestałem się nad sobą roztkliwiać i ruszyłem tyłek, żeby znaleźć jakiś ręcznik do wytarcia mokrej plamy. A następnie pomyślałem: „Cóż, przed przygodą rozpakowywanie”.

Udało mi się przykleić na ścianie mapę świata i schować większość ciuchów do szuflad, gdy zauważyłem, że od gorącego, wilgotnego powietrza pocą się nawet ściany, i zdecydowałem, że nie czas teraz na pracę fizyczną. Czas na wspaniałe zimny prysznic.

W małej łazience za drzwiami było olbrzymie, pełnowymiarowe lustro, więc nie mogłem nie zobaczyć siebie nagiego w lustrze, gdy pochylałem się, żeby odkręcić wodę. Zawsze dziwiło mnie to, jaki jestem chudy: ręce niewiele grubsze w ramionach niż w nadgarstkach, na kłacie ani śladu tłuszczu czy mięśni, i zastanawiałem się z zażenowaniem, czy nie można czegoś zrobić z tym lustrem. Odśloniłem nie najpiękniejszą białą zasłonkę i wsunąłem się do kabiny.

Na nieszczęście, prysznic wydawał się zaprojektowany dla kogoś o wzroście w przybliżeniu stu dwudziestu centymetrów, więc zimna woda uderzyła mnie w dolne żebra – z całą mocą kapiącego kranu. Aby zmoczyć swoją spoconą

twarz, musiałem rozstawić nogi i przykucnąć. Z pewnością John F. Kennedy (który miał, według biografy, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, czyli dokładnie tyle co ja) nie musiał kucnąć w swoim internacie. Nie, to była zupełnie inna bestia, i gdy kapiący prysznic powoli zraszał moje ciało, zastanawiałem się, czy znajdę tu w ogóle Wielkie Być Może, czy też grubo się przeliczyłem.

Kiedy otworzyłem drzwi łazienki, mając na sobie tylko ręcznik, którym owinałem biodra, zobaczyłem w drzwiach niskiego, muskularnego faceta z burzą ciemnych włosów. Włókł za sobą gigantyczny worek w kolorze khaki. Miał metr pięćdziesiąt i ani centymetra więcej, ale był dobrze zbudowany, niczym model Adonisa w skali. Ciągnął się za nim smród zatechłego dymu papierosowego. „Świetnie”, pomyślałem sobie. „Przyjmuję mojego współlokatora w negliżu”. Wtaszczył worek do pokoju, zamknął drzwi i podszedł do mnie.

– Jestem Chip Martin – ogłosił głębokim głosem radiowego didżeja. Zanim zdołałem odpowiedzieć, dodał: – Uściskałbym ci rękę, ale zdaje się, że musisz cholernie mocno przytrzymywać ten ręcznik, dopóki nie znajdziesz sobie jakichś ciuchów.

Zaśmiałem się i skinąłem głową (to jest cool, nie?, znaczy się skinięcie), i powiedziałem:

- Miles Halter. Miło mi.
- Miles, tak jak w „i wiele mi l od snu mnie dzieli”^{*}?
- zapytał mnie.
- Że co?
- To wiersz Roberta Frosta. Nie czytałeś?

^{*} Robert Frost, *55 wierszy*, tłum. Stanisław Barańczak, Kraków 1992, s. 121.

Potrząsałem głową. Nie.

– No to szczęściarz z ciebie – uśmiechnął się.

Zabrałem jakąś czystą bieliznę, niebieskie szorty Adidasa do gry w nogę i biały T-shirt, wymamrotałem, że wrócę za sekundę, i zamknąłem się w łazience. To tyle, jeśli chodzi o dobre pierwsze wrażenie.

– Gdzie są twoi rodzice? – zapytałem z łazienki.

– Rodzice? Ojciec jest w tej chwili w Kalifornii. Pewnie siedzi w markowym fotelu. Albo prowadzi pikapa. Tak czy inaczej, pije. Matka właśnie prawdopodobnie wyjeżdża z kampusu.

– O – powiedziałem już ubrany, niepewny, jak zareagować na tak osobiste informacje. Chyba nie powinienem był pytać, skoro wolałem nie wiedzieć.

Chip chwycił prześcieradło i rzucił je na górne łóżko.

– Jestem człowiekiem z góry. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– Yyy, nie. Tak czy tak, będzie dobrze.

– Widzę, że zdążyłeś już walnąć parę dekoracji – powiedział, wskazując na mapę świata. – Spoko.

A potem zaczął wymieniać nazwy krajów. Mówił monotonna, jakby robił to już wcześniej tysiąc razy.

Afganistan.

Albania.

Algieria.

Amerykańskie Samoa.

Andora.

I tak dalej. Zdążył przebrnąć przez „A”, kiedy podniósł wzrok i zauważył, że gapię się na niego z niedowierzaniem.

– Mógłbym wyrecytować resztę, ale zanudziłbyś się na śmierć. Nauczyłem się tego w lecie. Boże, nie masz pojęcia

jak nudno jest w New Hope w Alabamie w środku lata. Największa rozrywka to przyglądanie się, jak rośnie soja. A tak w ogóle, skąd jesteś?

– Z Florydy – uściśliłem.

– Nie byłem.

– To niesamowite, znaczy te kraje – powiedziałem.

– Każdy ma jakiś talent. Ja potrafię zapamiętywać różne rzeczy. A ty?

– Znam ostatnie słowa sławnych ludzi. Uczenie się ostatnich słów było moją przyjemnością. Inni mieli swoją czekoladę, ja miałem przedśmiertne deklaracje.

– Na przykład?

– Lubię ostatnie słowa Henryka Ibsena. Był dramaturgiem.

Wiedziałem dużo o Ibsenie, ale nigdy nie przeczytałem żadnej z jego sztuk. Nie lubiłem czytać dramatów. Lubiłem czytać biografie.

– Jasne, wiem, kim on był – powiedział Chip.

– No więc, od pewnego czasu był chory i pielęgniarka powiedziała do niego: „Wygląda na to, że dziś czuje się pan o wiele lepiej”, a Ibsen popatrzył na nią i powiedział: **„Wprost przeciwnie”** – i umarł.

Chip wybuchnął śmiechem.

– Makabryczne. Ale podoba mi się.

Powiedział mi, że to jego trzeci rok w Culver Creek. Przeszedł tutaj w dziewiątej klasie, na początku szkoły średniej, i był teraz w jedenastej, tak jak ja. Stypendysta, jak powiedział. Pełna jazda. Słyszał, że to najlepsza szkoła w Alabamie, więc napisał w podaniu, jak bardzo chciałby chodzić do szkoły, gdzie mógłby czytać grube książki. Problem w tym, pisał dalej, że w domu tata

zawsze walił go książkami po głowie, więc Chip dla własnego bezpieczeństwa trzymał tylko cienkie książki w miękkiej oprawie. Jego rodzice rozwiedli się, kiedy był w drugiej klasie. Lubił „Creek”, jak nazywał szkołę, ale ostrzegł mnie: „Musisz tutaj uważać na uczniów i na nauczycieli. A ja nie cierpię uważać” – uśmiechnął się znacząco. I ja nie cierpiałem uważać – albo przynajmniej chciałem nie cierpieć.

Powiedział mi to, kopiąc w swoim worku i wrzucając ubrania do szuflad z wielkim zapalem. Chip nie wierzył w posiadanie „szuflady na skarpety” albo „szuflady na T-shirty”. Wierzył w równouprawienie wszystkich szuflad i wypełniał je tym, co popadło. Moja matka dostałaby zawału.

Kiedy tylko skończył się „rozpakowywać”, walnął mnie zdrowo w ramię i powiedział:

– Mam nadzieję, że jesteś silniejszy, niż na to wyglądasz – a potem wyszedł, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Po kilku sekundach pojawiła się w nich jego głowa. Zobaczył, że stoję w bezruchu:

– No chodź, wiele-Mil-esie Halterze. Mamy kupę spraw do załatwienia.

Poszliśmy do pokoju telewizyjnego, w którym według Chipa znajdował się jedyny w kampusie odbiornik telewizji kablowej. W lecie pokój ten służył jako magazyn. Wypchany był prawie po sufit tapczanami i zwiniętymi dywanami, a teraz pękał w szwach od tłumu dzieciaków próbujących znaleźć, a potem wynieść swoje rzeczy. Chip przywitał się z niektórymi, ale mnie nie przedstawił. Gdy on wędrował przez wypełniony tapczanami labirynt, ja stałem przy wejściu do pokoju, robiąc, co tylko w mojej

mocy, aby nie zagradzać drogi współlokatorom, gdy manewrowali meblami, wynosząc je przez wąskie drzwi frontowe.

Znalezienie swoich rzeczy zajęło Chipowi dziesięć minut, a potem zeszła nam jeszcze godzina na czterech wycieczkach tam i z powrotem przez podwórko między pokojem telewizyjnym i pokojem 43. Pod koniec miałem ochotę wczłogać się do minilodówki Chipa i zahibernować się w niej na tysiąc lat, ale Chip był chyba odporny i na zmęczenie, i na upał. Usiadłem na jego tapczanie.

– Znalazłem go na chodniku niedaleko mojego domu kilka lat temu – powiedział, wskazując na tapczan i pracując nad instalowaniem mojej konsoli PlayStation 2 na swojej szafce w nogach łóżka. – Wiem, że na skórze jest parę pęknięć, ale co tam. To fajowskie wyro. – Na skórze było trochę więcej niż parę pęknięć: pokrycie tapczanu w mniej więcej trzydziestu procentach składało się ze sztucznej skóry w kolorze błękitu majtkowego i w siedemdziesięciu procentach z pianki, ale mimo to czułem się na nim diabelnie dobrze.

– Spoks – rzucił. – Już prawie jesteśmy w domu. – Podszedł do swojego biurka i wyciągnął z szuflady taśmę klejącą. – Potrzebna nam tylko twoja walizka.

Wstałem, wyciągnąłem walizkę spod łóżka, a Chip umieścił ją pomiędzy tapczanem a PlayStation 2 i zaczął odrywać cienkie paski taśmy. Nakleił je na walizkę w taki sposób, że utworzyły napis: STOLIK KAWOWY.

– No proszę – powiedział. Wstał i wyłożył nogi na ten, no, stolik kawowy. – Gotowe.

Usiadłem obok niego, a on przyjrzał mi się i rzucił znienacka:

– Słuchaj. Nie będę twoim przewodnikiem po życiu towarzyskim Culver Creek.

– No okej – przytaknałem, czując, jak słowa więzną mi w gardle. Przenoszę wyro tego gościa pod rozpalonym do białości słońcem, a on mnie nie lubi?

– Zasadniczo mamy tu dwie grupy – zaczął wyjaśniać z coraz większym zniecierpliwieniem. – Zwykłych, normalnych internatowców, jak ja, i Wojowników Dnia Powszedniego; przebywają tu w ciągu tygodnia, ale to bogate dzieciaki, które naprawdę pochodzą z Birmingham i co weekend wracają do klimatyzowanych rezydencji swoich rodziców. Te dzieciaki to elita. Nie lubię ich, a oni mnie, więc jeśli myślałeś, że jesteś Bóg wie kim w swojej szkole publicznej, i nadal ci się wydaje, że możesz się uważać za Bóg wie kogo, to lepiej, żeby nikt cię tutaj ze mną nie widział. Chodziłeś do szkoły publicznej, prawda?

– Aaa... – wymamrotałem w roztargnieniu i zacząłem skubać pęknięcia w obiciu tapczanu, wbijając palce w białą piankę.

– Jasne, że tak, bo gdybyś chodził do prywatnej, to miałbyś lepiej dopasowane szorty – zaśmiał się.

Nosiłem spodenki trochę poniżej bioder, co, jak sądziłem, było *cool*. W końcu powiedziałem:

– Taa. Chodziłem do szkoły publicznej. Ale nie byłem tam Bóg wie kim, Chip. Bóg jeden wie, kim ja tam byłem.

– Ha! Dobrze. I nie nazywaj mnie Chip. Nazywaj mnie Pułkownik.

Stłumiłem śmiech. „Pułkownik”?

– Właśnie. Pułkownik. A ciebie nazwiemy... hmmm. Klucha.

– He?

– Klucha – powtórzył Pułkownik. – Bo jesteś chudy. To się nazywa ironia, Klucha. Słyszałeś kiedyś o czymś takim? A teraz chodźmy po papierosy i zacznijmy ten rok jak należy.

Wyszedł z pokoju, znowu przyjmując za rzecz oczywistą, że udam się za nim, co tym razem zrobiłem. Na szczęście zbliżał się już wieczór. Przeszliśmy pięć pokoi dalej, do pokoju 48. Na drzwiach była przyklejona kartka. Napisano na niej niebieskim markerem: „Alaska ma jedynekę!”.

Pułkownik wyjaśnił mi, że 1. to jest pokój Alaski, że 2. ma jedynekę, bo dziewczyna, która miała być jej współlokatorką, pod koniec zeszłego roku została wyrzucona ze szkoły, i że 3. Alaska ma fajki, chociaż Pułkownik nie raczył zapytać, czy 4. pałę, na co odpowiedź brzmi: 5. nie.

Zapukał raz, głośno. Zza zamkniętych drzwi dobiegł wrzask:

– Boże, włącz, niziołku, mam dla ciebie czaderską historię!

Weszliśmy. Odwróciłem się, by zamknąć za sobą drzwi, a Pułkownik potrząsnął głową i powiedział:

– Po siódmej musisz zostawiać otwarte drzwi, jeśli jesteś w pokoju dziewczyny – ale ledwo go dosłyszałem, bo oto najgorętsza dziewczyna w historii ludzkości stała przede mną w obciętych dżinsach i brzoskwiniowym topie. Mówiła równocześnie z Pułkownikiem, głośno i szybko.

– No więc pierwszego dnia lata jestem w wielkim starym Vine Station z tym chłopakiem Justinem. Oglądamy telewizję na kanapie u niego w domu – a jak już pamiętasz, chodzę z Jakiem; w zasadzie wciąż z nim chodzę, to chyba cud, ale Justin to mój przyjaciel z dzieciństwa – więc oglądamy telewizję i gadamy normalnie o egzaminach albo o czymś takim, a tu Justin obejmuje mnie ramieniem i myślę sobie:

„Och, takie to przyjemne, jesteśmy przyjaciółmi już od dawna i tak mi z nim dobrze”, i sobie gawędzimy, jestem właśnie w środku zdania o analogiach albo czymś takim, a on jak drapieżny ptak łapie mnie za cycek i traktuje go jak klakson. Po prostu nim trąbi. Piiiiip. Stanowczo-zbyt-mocne, dwu-, trzysekundowe PIIIIIP. Moja pierwsza myśl, to „Okej, jak oderwać to łapsko od mojego cycka, zanim zostawi trwałe ślady?”. Moja druga myśl, „Boże, nie mogę się doczekać, aż powiem o tym Takumiemu i Pułkownikowi”.

Pułkownik chichotał. A ja gapiłem się na nią, ogłuszony częściowo siłą emanującą z tej drobnej (ale, Boże, jakże kształtnej) dziewczyny, a częściowo gigantycznymi sterami książek, ułożonych wzdłuż ścian. Zbiory jej biblioteczki wypełniały regały, a nawet przelewały się poza nie, tworząc sięgające do pasa stosy książek, które piętrzyły się w różnych miejscach pod ścianami. „Gdyby przewrócił się chociaż jeden z nich”, pomyślałem sobie, „wskutek efektu domina nasza trójka zostałaby pochłonięta przez powódź literatury”.

– Kto to jest ten facet, który nie śmieje się z mojej przekomicznej historii? – zapytała.

– No tak. Alaska, to jest Klucha. Klucha zapamiętuje ostatnie słowa różnych ludzi. Klucha, to jest Alaska, której pierś została użyta jako klakson.

Podeszła do mnie z wyciągniętą ręką, ale w ostatnim momencie błyskawicznie schyliła się i pociągnęła w dół moje szorty.

– To są największe krótkie spodnie w stanie Alabama!

– Lubię workowate spodnie – powiedziałem lekko urażony i podciągnąłem je w górę. Na Florydzie to był ostatni krzyk mody.

– Jak dotąd podczas naszego krótkiego związku, Klucha, widywałem twoje chude nóżki zdecydowanie za często – stwierdził Pułkownik z udawaną powagą. – Alaska, sprzedaj nam parę fajek. – I wtedy, w jakiś trudny do wytłumaczenia sposób, Pułkownik namówił mnie, abym zapłacił pięć baksów za paczkę Marlboro Light, których nie miałem najmniejszego zamiaru palić. Zaprosił Alaskę, aby się przyłączyła, ale ona powiedziała:

– Muszę poszukać Takumiego i powiedzieć mu o PIIIIIP.

Następnie zwróciła się do mnie:

– Widziałeś go?

Nie miałem pojęcia, czy go widziałem, ponieważ nie miałem pojęcia, kto to. Dlatego tylko pokręciłem głową.

– Oki. To do zo za parę minut nad jeziorem. – Pułkownik skinął głową.

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

BESTSELLER
„NEW YORK TIMESA” I „USA TODAY”

**WŚRÓD 100 NAJLEPSZYCH POWIEŚCI
MŁODZIEŻOWYCH WEDŁUG MAGAZYNU „TIME”**

Miles Halter z zafascynowaniem śledzi ostatnie słowa sławnych ludzi, to jego hobby. Jest jednak zmęczony codziennością, dlatego wyjeżdża do szkoły średniej z internatem. Chce odnaleźć to, co poeta François Rabelais nazwał Wielkim Być Może, dowiedzieć się czegoś o sobie i wyznaczyć cele. W Culver Creek spotyka niezwykłą pod każdym względem dziewczynę, Alaskę Young, która szybko wciąga go w swój niepokojący świat. Miles wkrótce przekona się, że jej życie nie jest takie wspaniałe, jak mu się wydawało. Dowie się, co to przyjaźń i miłość, doświadczy prawdziwych, zarówno pięknych, jak i bolesnych uczuć.

Nr 21000159

ISBN 978-83-8074-634-3



9 788380 746343



bukowylas.pl

Cena: 39,90 zł